

ALOJZY LESZEK GZELLA

ur. 1932; Pelplin



Miejsce i czas wydarzeń	Lubawa, okres powojenny
Słowa kluczowe	Lubawa, okres powojenny, Pomorze, język niemiecki, harcerstwo, edukacja, nauczyciele

Lata powojenne na Pomorzu

Muszę powiedzieć, że rówieśnicy moi albo trochę starsi, bo ja należałem do najmłodszych jak gdyby roczników w tej klasie, przez całe cztery lata chodzili do niemieckiej szkoły, znali bardzo dobrze język niemiecki. I na przykład decyzja władz oświatowych, że na terenach pomorskich nie można po 1945 roku uczyć języka niemieckiego, była zupełnie niezrozumiała dla tej społeczności. Dlaczego nie uczyć języka naszego najbliższego wroga? Przecież wszyscy Pomorzacy znali język niemiecki, ta młodzież również znała język niemiecki, bo ona od 1939 roku, pięć lat nawet, była w szkołach niemieckich, uczyła się po niemiecku. To nie tylko przecież mała grupka młodzieży z rodzin polskich. Może źle powiedziałem, Niemcy nadali pewne statuty tym Pomorzakom, tym Wielkopolanom, ludności, którą zawładnęli. Polacy, którzy byli w jakiś sposób patriotycznie niechętni i zaznaczali to albo przed wojną przynależeli do organizacji polskich, byli wywożeni po prostu do obozów. Ten obóz Stutthof jest najbliższej Pomorza, on nie został utworzony dla lublinian, chociaż z Lublina znam osoby, które również w Stutthofie przebywały, ale dla Pomorza, tam odbywały się kaźnie ludności pomorskiej. Przyjeżdżali też do Oświęcimia, wiem, że jedna z pierwszych grup kobiet przywiezionych transportem do Oświęcimia pochodziła z regionu bydgoskiego. Ale to była ta grupa Polaków, którzy traktowani byli przez Niemców jako wrogowie i [których] należy likwidować. Ale potrzebna była też ludność do pracy. Więc były takie formacje jak *Eingedeutsche*, *Volksdeutsche*, *Reichsdeutsche*, to były grupy różne. Na przykład Pomorzacy, którzy mieli niemieckie nazwiska, byli wciągani do grupy *Reichsdeutschów*, czyli uważało się, że oni są Niemcami, tylko byli spolonizowani, czy w Polsce żyli i tak dalej, i tak dalej. Te grupy istniały przez cały okres okupacji i po wojnie one nadal stanowiły miąsz tego środowiska. I dlatego na przykład ograniczenie nauki języka niemieckiego czy wręcz eliminowanie takiej możliwości było kompletnie niezrozumiałe ani dla tej ludności, ani dla tej młodzieży. Co więcej traktowano to jako pewne narzucone decyzje niepolskich władz, że to nie było z decyzji polskiej, bo każdy Polak myślący tam się uczył

niemieckiego, tak jak w Brześciu uczyli się rosyjskiego. Takie było mniej więcej to rozumowanie.

W związku z tym integracja wśród młodzieży była dosyć trudna i dosyć taka dystansująca się. Przełamywały te opory między innymi organizacje młodzieżowe, myślę tutaj o Związku Harcerstwa Polskiego. Była to bardzo patriotyczna organizacja na Pomorzu w tym środowisku, w którym ja byłem. Pierwszą wycieczkę wakacyjną, rowerową zorganizowaliśmy jako drużyna harcerska dopiero tworząca się na pola pod Grunwaldem. Pojechaliśmy tam rowerami, żeby złożyć hołd polskim wojom, którzy tam przemogli i zniszczyli krzyżaków. Najbardziej wzruszająca rzecz – my śpiewaliśmy tam hymn „Jeszcze Polska nie zginęła” – mali chłopcy przecież stosunkowo i niemający dorosłego przewodnika tylko rówieśników. I to „Jeszcze Polska nie zginęła”, które śpiewałem wtedy na polach grunwaldzkich, było bardziej dla mnie wzruszające niż [te wykonania], które śpiewaliśmy na różnych naszych harcerskich spotkaniach – bo ja byłem w Szarych Szeregach w czasie okupacji i w czasie powstania warszawskiego – na takich ogniskach, to się tak nazywało ogniskami, harcówkę mieliśmy na ulicy Wilczej 41-43, to budynek szkolny jakiś był, tam się zapalało latarkę, zakrywało się czerwonym papierem i to było ognisko. Śpiewaliśmy pieśni harcerskie, ale też „Jeszcze Polska nie zginęła”. Ale wtedy na polach grunwaldzkich, może dlatego, że już byłem trochę starszy, to było wzruszające przeżycie i dobrze je zapamiętałem.

1948 rok był już masakrą tych wszystkich nadziei, tych wszystkich inicjatyw, które rodziły się po wojnie w środowiskach pomorskich, ale myślę tutaj o młodzieżowych środowiskach. Mój ojciec był nauczycielem, był też wicedyrektorem szkoły, a również wiceburmistrzem tego miasta, burmistrzem był taki pan Boryna, nazwisko takie dosyć, powiedziałbym, literacko-historyczne, ale to był chłop gdzieś z Kielecczyny, który wżenił się przed wojną jeszcze w gospodarstwo w Lubawie i został burmistrzem – taki pijaczyna, który chodził z pistoletem zwisającym na takich rzemykach poniżej kolan. W pewnym momencie ojciec powiedział: „Chłopcy, pamiętajcie, nic nie wolno mówić o waszym udziale w powstaniu warszawskim”. Myśmy nie mogli tego zrozumieć. Ale zaczął się nowy rok i się okazało, że historykiem nie jest już nasz uwielbiany pan profesor Zagórski, ale jakaś młoda dziewczyna, która była studentką historii toruńskiego uniwersytetu i prowadziła z nami lekcje historii. Pamiętam jeszcze jakąś dyskusję, bo na początku to były szkoły, gdzie dyskutowano, później już nie było dyskusji, nie wolno było dyskutować, wypowiadać swojego zdania na jakiś temat, tylko powtórzyć to, co na poprzedniej lekcji nauczyciel przekazał. I to było dla nas wielkie zaskoczenie. Ona te nasze jak gdyby opozycyjne stanowiska początkowo przyjmowała z uśmiechem, nie reagowała, nie notowała tego, czyli była takim jak gdyby łagodnym przejściem w inny etap historii młodych ludzi. Ale był też taki nauczyciel, też student wtedy toruński, który uczył nas przedmiotu o współczesnej Polsce i tych wszystkich tam układów w parlamencie, organizacji partyjnej i tak dalej, który przez nas był traktowany jako donosiciel do władz partyjnych czy, powiedzmy,

ubeckich, politycznych i tam mój ojciec miał wiele przykrości też, kojarzył to z jego [osobą], co się okazało po latach nieprawdą. To był człowiek, który z Wileńszczyzny uciekł, gdzie był w Armii Krajowej, w Toruniu się zahaczył, wstąpił na uniwersytet, uczył się i stał się działaczem partyjnym. Ale on jednak nas przestrzegł kiedyś, rodziców, że u nas będzie rewizja. Parę lat temu dowiedziałem się, że on mieszka w Rzeszowie, nawet kontaktowałem się z nim i [okazało się], że to był żołnierz Armii Krajowej, bardzo zresztą aktywny w czasie wojny, w Kedywie służył. Natomiast kiedy przyjechał na Pomorze, stworzył wokół siebie jak gdyby taką woalkę, takie zupełnie nowy etap życia jak gdyby rozpoczynające działania. Wstąpił do partii i nie przyznał się, że był w AK. Parę lat temu napisał wspomnienia o swoim oddziale akowskim, w którym był bardzo aktywny. Bardzo sympatyczny człowiek, myśmy go lubili, ale uważaliśmy, że on jest wtyką szkolną.

Data i miejsce nagrania	2006-02-08, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski, Marcin Fedorowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"